









Ni to wieś, ni to osada. Ani też miasteczko. Miejscowości, której równie dobrze mogłoby nie być wcale. Pofoszona na krańcu województwa łomżyńskiego, gdzie wszędzie wydaje się daleko. Uspłona nawet w południe. Samochód z trudem wymija dziury w jezdni, postawiając za sobą słup kurzu. W rynku warunki są nie lepsze.

USTO. Jedynie gospoda pod nazwą „Zarebianka” pełna gości. Bywał tu kiedyś. Rozmawiając o każdej porze dnia, samemu, zaplającemu oczy, tego świata setką czy-gastronomiczną.

spójnym tłoczno. Co mogli przywieźć, pachnie tylko, dobre i to, najmniej świeże. Kobiety rozchodzą się. Kobiety rozchodzą się.

# W oczekiwaniu na Godota

W ZAREBACH KOS-  
NYCH toczy się smutne  
długo. Jedynie wtorek jest  
krzyków i gwarów  
z okolic.  
Klubu kultury nie ma. Klub  
przy remizie OSP. Bi-  
kilo, ciurku, bochenek  
kiedy ser żółty be-  
Kobiety rozchodzą się.

Trafiam na zakończenie  
praktyki. Oglądam plan dwu-  
tygodniowego pobytu. To są  
skizy koncepcyjne — obja-  
niają mgr Jędrzejka Zarow-  
ka i mgr Janina Wincza-Ka-  
mińska. Projekty małej ar-  
chitektury, a więc aranżacja  
miejsc opoczynku i spotkań,  
rozwiązania sieci handlowej i  
usługowej. Dalej — skizy  
projektowe z elementami in-  
formacji wizualnej, czyli na-  
pisy, reklamy. Pomysły na  
ciekawie oświetlenie ulic. Nie-  
banalne ławki, ogrodzenia.  
Projekty placu zabaw dla  
dzieci, zagospodarowa-  
nia rynku. Drobne deta-  
le — a ileż uroku uzyskałyby  
Zareby, gdyby te pomysły  
wykorzystał w praktyce.

— Na to raczej nie liczy-  
my — sprostował mi na-  
zemnie panie asystentki. —  
Nikt z miejscowej władzy nie  
zainteresował się pracami  
studentów. W ubiegłym ro-  
ku — wspomina mgr D. Ko-  
rolczuk — naczelnik Klesz-  
czel gotów był zatrzymać  
wszystkie projekty. Tu — na-  
wet nie spojrzeli.  
Srodek lata. W komitecie  
partii pustki, w urzędzie  
gminnym też kanikuła, ale  
dyżurną sekretarz powia-  
dła naczelnika, więc „zar-  
wał” urlop i przyjechał spe-  
cjalnie. Na pytanie, dlaczego  
miejscowość jest tak zanie-  
dowana Henryk Kępczyński ma  
nieodmiennie ten sam argu-  
ment, jego zdaniem tuman-  
szczy wszystko. Gmina jest  
siłowa ekonomicznie — akcen-  
tuje, a potrzeb bardzo dużo.  
Zareby żyją na kredyt. W  
trzech czwartych fundusz  
gminny jest dotowany przez  
województwo. Głęboko się  
nie — piaski przeważnie pi-  
ję i szóstki klasy. 1300 ro-  
lników, w tym 450 to dwu-  
gminian, gospodarstwa w  
gminie niewielkie: czter-  
najwyżej sześcioghektarowe.  
Tylko trzech gospodarzy li-  
czy się w województwie. Wła-  
ścielcy fermy drobiu w Złotoryi,  
producent mleka z Gąsioro-  
wa i jeszcze jeden rolnik  
produkcji w hodowlę bydła.  
Wielkość — tyle co sobie i  
jeszcze rekę wyciąga po zapo-  
mógł. 4,5 mln idzie z kasy  
gminnej na opiekę społeczną,  
dwa miliony jest wypłacanych  
w formie zasiłków dla dzieci  
miejscowych rolników.  
Znowelizowana ustawa o  
radach narodowych naczelnik  
nada, jednak co? Zarebom p-  
ustawie. Tu nie ma się  
zrobić Henryk Kępczyński jest  
przekonany, że gdyby nawet  
w Zarebach gospodarzyli ge-  
niusz, to nie poradzą. Bo  
ludzie tu tacy, że nie garną  
się do roboty, jest im wszyst-  
ko jedno. W okolicznych  
wsicach inaczej. W Zakrzewie

Kopijkach np. sami mieszkań-  
cy finansowali centralne o-  
grzewanie w szkole, w Ket-  
lance zbudowali w czynie  
społecznym przystanek i po-  
czekalnię. A w Szulborzu ile  
zrobiono — naczelnik właśnie  
stamtąd dojeżdża, na co dzień  
obserwuje.  
W Zarebach nie tylko by  
narzekali. Nie ma zakładów  
pracy, przedsiębiorstw, rze-  
miosło się nie rozwija, bo  
brakuje chętnych.  
Przysługuje się tym wy-  
wodom i odnoszę wrażenie,  
że taki stan rzeczy nie jest  
wcale najgorszy. Skoro nie  
można nie działać, to znaczy  
powinno być jak jest. Przy-  
szłość gminy naczelnik widzi  
rawet nieźle.  
— Czekamy na fundusz in-  
terwencyjny — odpowiada —  
ma być utworzony z myślą  
o słabszych gminach.  
Zareby chyba się na to za-  
lapią.  
Naczelnik narzeka, narzeka-

ją i ludzie. Mówią chętnie,  
choć bez ujawniania nazwisk.  
Niechciałbyś mieszkańców,  
znają się wszyscy naokoło. Po  
co sobie wrogów nazywać? W  
gminie niejedno przyjdzie  
załatwić. — Naczelnik mieszka  
w Szulborzu i tam idą wszy-  
stkie fundusze. Wystarczy po-  
patrzeć. Porządek wszędzie.  
Chodniki i asfalt prawie na  
pół idą, a jak w Zarebach?  
Rozwalony rynek, pokopane  
ulice — jakby gospodarza nie  
było.  
— Naczelnik dlatego — nie  
dba o Zareby, bo chciałby do  
Szulborza przenieść gminę.  
Już raz o tym wspominał na  
sesji rady narodowej. Ale ra-  
ni się sprzeciwił. Gmina  
przecież to nie koszyk, żeby  
przenieść. Chcecie się oddzie-  
lić i szóstki klasy. 1300 ro-  
lników, w tym 450 to dwu-  
gminian, gospodarstwa w  
gminie niewielkie: czter-  
najwyżej sześcioghektarowe.  
Tylko trzech gospodarzy li-  
czy się w województwie. Wła-  
ścielcy fermy drobiu w Złotoryi,  
producent mleka z Gąsioro-  
wa i jeszcze jeden rolnik  
produkcji w hodowlę bydła.  
Wielkość — tyle co sobie i  
jeszcze rekę wyciąga po zapo-  
mógł. 4,5 mln idzie z kasy  
gminnej na opiekę społeczną,  
dwa miliony jest wypłacanych  
w formie zasiłków dla dzieci  
miejscowych rolników.  
Znowelizowana ustawa o  
radach narodowych naczelnik  
nada, jednak co? Zarebom p-  
ustawie. Tu nie ma się  
zrobić Henryk Kępczyński jest  
przekonany, że gdyby nawet  
w Zarebach gospodarzyli ge-  
niusz, to nie poradzą. Bo  
ludzie tu tacy, że nie garną  
się do roboty, jest im wszyst-  
ko jedno. W okolicznych  
wsicach inaczej. W Zakrzewie

# Poszukiwanie klucza

Ciąg dalszy ze str. 1

ły są na pełnym rozrachunku  
gospodarczym i tu w zale-  
żności od możliwości finanso-  
wych ustala się wielkość i  
sposób wynagrodzenia.  
I sekretarz KM PZPR —  
GRZEGORZ FLETER:  
— Konflikt został rozwiąza-  
ny doradnie, wpatliwosci i  
sama istota konfliktu pozo-  
stała. Wyeliminować je może  
zwiększenie bezpośrednich  
kontaktów Dyrekcji Okręgu  
i Generalnej z załogą. Zadbaj-  
też trzeba o podniesienie ran-  
gi organów przedstawicielskich  
załogi i poprawę stosunków  
miedzyludzkich.  
Z opinii KM PZPR:  
POP wypelnia — co prawda  
— statutowe obowiązki, ale  
jest statyczna, bez inicjaty-  
wy. W jej składzie przewa-  
żają pracownicy administracji,  
rencisci i emeryci. Organiz-  
acja związkowa jest bardzo  
słaba, nie ma wśród załogi  
żadnego prestiżu, jest niezle-  
czna, spełnia rolę statyczną. Ra-  
da Pracownicza wypelnia swo-  
je obowiązki zadowalająco.

Przewodniczący organizacji  
związkowej — ANTONI DU-  
DZIO:  
— Gdy poparliśmy postula-  
ty załogi także w sądzie, wsta-  
pienie do związków deklarow-  
ało trzydziestu kierowców.  
Po konflikcie żaden nie zgło-  
sił się do deklaracji.

RELACJE I RACHUNKI  
Zadania planowe półrocz-  
Oddział w Łomży wykonał,  
poprawił wskaźniki technicz-  
no-ekonomiczne, ale podwyż-  
ka wydatków radykalnie pogor-  
sza — relacje ekonomiczne,  
podważając możliwości samo-  
finansowania i groząc wysoki-  
m podatkiem od ponadnor-  
matywnych wynagrodzeń.  
Przewodniczący ma temu rea-  
lizacji programu poprawy ef-  
ektywności gospodarowania.  
Głównie oszczędności przy-  
nieść powinny rezygnacja z  
obcych usług remontowych i  
zwiększenie wykorzystania ta-  
boru ciężarowego. Nastąpi też  
likwidacja części nierentow-  
nych kursów autobusowych.

Dyrektor Oddziału — WEA-  
DYSLAW LACH:  
— Nie jesteśmy w stanie  
zaspokoić wszystkich życzeń  
społeczności. Z przyczyn ek-  
onomicznych nie możemy też  
sobie obecnie pozwolić na eks-  
perymentowanie z uruchamia-  
niem nowych linii dalekobież-  
nych, tym bardziej, że tylko  
60 proc. obsługiwanych przez  
nas jest rentownych.  
Opracowaliśmy program  
najbardziej realny, liczymy  
również na pomoc finansową  
Okręgu i Naczelnej Dyrekcji.  
Chciałbym też aby z przyrze-  
czeń swoich wywiązali się  
kierowcy, którzy w trakcie  
rozwiązywania konfliktu za-

TADEUSZ SOBIEK:  
Dyrektor Sawko mówi, że  
pomoc. Jego sprawa jak, ale  
Okręg Białostocki już wystą-  
pił o 100 mln zł dotacji. Trze-  
ba wrzeszczu usławić sobie,  
że trudną sytuację łom-  
żyńskiego oddziału spowodow-  
wały głównie przyczyny we-  
wnętrzne: zachwianie relacji  
ekonomicznych.  
Oddział ma lepszą struk-  
turę taboru niż średnio w  
przedsiębiorstwie, a rentow-  
ność prawie trzykrotnie niż-  
sza sytuacji go pod koniec  
drugiej setki Oddziałów. Trze-  
ba przeanalizować dlaczego  
ma jedno z najwyższych w  
kraju koszty zużycia paliwa i  
opon. Klucz do poprawy tkwi  
w zakładzie.  
Sekretarz KW — MARIAN  
KOCWIN:  
— To są fakty, ale wyjście  
z tej sytuacji wymaga także  
pomocy Okręgu i Naczelnej  
Dyrekcji.

MIECYSŁAW CZERNIAW-  
SKI:  
— Wnioski z dyskusji są  
jednoznaczne. Trzeba jeszcze  
raz przeanalizować możliwości  
wyjścia z impasu. Program  
będzie miał jednak szanse po-  
wodzenia przede wszystkim w  
przypadku włączenia się do  
jego realizacji całej załogi,  
zrozumienia potrzeb i konse-  
kwencji.  
W tym kierunku też poszły  
zalecenia Egzekutywy KW  
pod adresem kierownictwa od-  
działu, POP i Komitetu Mie-  
jskiego PZPR oraz apel do Ra-  
dy Pracowniczej i związków  
zawodowych. Na pytanie: czy  
słuszne stanie się oczywiste,  
odpowie czas.

JERZY BRODZIUK

## PROSZĘ O GŁOS!

ODZIENNE do wielu urzędów nadcho-  
dzą listy zawierające skargi i zażale-  
nia; sporo też zwykłych — nazwijmy  
po imieniu — donosów podpisanych  
nieodmiennie: „Zyciulny”, „Zatroskany oby-  
watel”, „Szczery patriota”, „Prawdziwy Po-  
lacy”, względnie w ogóle pozbawionych pod-  
pisu. Donosy wypełnione są zazwyczaj bez-  
sensownymi podziałkami, bezpodstawnymi  
oskarżeniami i bezinteresownej zawiści, rzad-  
ko przynosząc prawdziwe informacje o dzie-  
jach się gdzieś w Polsce nieprawościach.  
Bezimienni autorzy mają, oczywiście, inte-  
res. Pojęcie okrągłych słów o społecznej inte-  
resie, o — tak — społecznej sprawiedli-  
wości, gdy w rzeczywistości chodzi im o —  
nazwijmy — malutki i całkiem prywatny  
interes. Chciałby, aby adresat, to znaczy wła-  
dza, zarządził kontrolę, wysłał inspekcję i  
w rezultacie zatruć życie na ogół Bogu du-  
żo winnemu czy wielokrotnie, który miał nie-  
winnie narazić się donosicielowi.

# ANONIM

W jednym z południowych województw  
przeprowadzono analizę anonimowych skarg  
przesyłanych do Wojewódzkiej Komisji Kon-  
trollo-Rewizyjnej PZPR. Okazało się, że  
przeszło 80 proc. (!) zawartych w nich za-  
żaleń nie znalazło potwierdzenia w cza-  
nie postępowania wyjaśniającego. Mówiąc  
prościej: zarzuty te zostały wysłane z pal-  
ca. Podobne wyniki przyniosło zbadanie an-  
onimów odebranych w różnych biurach skarg  
i zażaleń funkcjonujących przy urzędach ad-  
ministracji państwowej na tym terenie. Za-  
ważmy, że, gdy odebrano „niepokojący  
wynag” o — na przykład — czyjeś klujące  
o czyż zamoż ości rzekomo będącej rezul-  
tatem przestępstwa, o najprzeróżniejszych  
bezesensownościach, pijaństwie i orgiach urzęd-  
niczych w zakładzie pracy, do akcji ruszał  
cały oddział kontrolerów. Szukali, sprawdzali,  
ogladali, przesłuchiwali, wysłuchiwali i... tra-  
cił czas na d. no. Tymczasem przekonany  
o swojej niewinności obiekt anonimowej  
napięci drżał z niepokoju, lękając się, że  
niekiedy dostawał zawału, bo  
nieprawdopodobnie niewinność, ale —  
jak pisał — „nim udowodnisz, że nie  
jestem winny, już zostaniesz obciążony  
i będziesz grzeszyć maszerował w karawa-  
lu”. W najlepszej formie był autor dono-  
su, który zacierając ręce, wypełniony po brze-  
gi radością, iż takim kosztem udało mu się  
zatruć życie k miś, kogo nie lubił.  
Kiedy więc w owym województwie oka-  
zało się, że poważnie traktowanie anonimów  
przynosi znacznie więcej szkody niż po-  
żytku, zdecydowano się na krok iście rewo-  
lucyjny: postanowiono wszystkie anonimy  
nieczyść, zupełnie ich nie rozpatrywać. War-  
to dodać, że w Związku Radzieckim podob-  
na decyzja podjęta już kilka miesięcy temu.  
Przeciwnicy tego typu postępowania nie u-  
stępują i donoszą, że w wypadku istnienia  
nieprawości i wzajemnie się wspierającej  
kłamstwa, wykorzystującej i niszczącej tych, któ-  
rzy do niej nie należą, szary, przyzwyczajony  
nie mogący pogodzić się z nieprawo-

cią, nie ma żadnej innej (poza anonimowym  
donosem — oczywiście) możliwości jej zwal-  
czenia. Gdyby swoją skargę podpisał peł-  
nym imieniem i nazwiskiem, gdyby dołączył  
do niej swój adres, zostałby przez klikę mo-  
ralnie unicestwiony, przeniesiony do gorszej  
pracy, poddany różnego rodzaju szykanom  
itp., a klika prosperowałaby dalej.  
Trudno temu wywodowi odmówić racji.  
Zapewne wielu zetknęło się kiedyś z ludź-  
mi złamanymi psychicznie, którzy nie tyl-  
ko okazali się bezradni w podjętej niedługo  
walce ze złem, ale tę walkę przegrali. „Wie-  
rzyliśmy w sprawiedliwość — mówili. — O-  
kazalo się jednak, że to nic nie znaczy lub  
znaczy bardzo mało. Najważniejsze są po-  
wzięcia. Coś, Pol- mądry po szko-  
dzie!”

Czy jednak nie więcej zła kryje się w  
warunkach umożliwiających bezkarnie szko-  
dzenie i dokuczanie komuś tylko dlatego, że  
do czegoś w życiu doszedł, że jest szczęśli-  
wy, że ma kochającą go rodzinę i ciepły,  
przytulny dom? Donosiciela nigdy nie bę-  
dzie na to stać, bo jest on leniwy, ograni-  
czony, ma dwie lewe ręce, uważa, że wszyst-  
ko mu się należy bez większego wysiłku z  
jego strony i nienawidzi wszystkich, któ-  
rym się lepiej powodzi niż jemu. Tymczasem  
władza zamiast zajmować się rzadze-  
niem i troszczyć o zaspokojenie potrzeb  
wszystkich obywateli, których ustawa-  
wo reprezentuje i w których imieniu ma  
działać, w sporę swę część weszły z no-  
sem przytkniętym do ziemi, zwało biegnąc  
fałszywym zazwyczaj tropem, by na ko-  
niec stanąć bezradnie i kląć po cichu po-  
wórci do punktu wyjścia.

Jaki z tego społec-... pożytek? Żaden.  
Przeciwieństwo: traktowanie anonimowych dono-  
sów (w jednej z instytucji kiedyś nazywa-  
no je elegancko „informacjami obywatelski-  
mi”) poważnie sprzyja powstawaniu atmos-  
fery przynajmniej najgorsze carskie, ni-  
kolejowskie, a więc, gdy delatorskie poste-  
powanie było cnotą, anonim zaś dawał zna-  
komitę pożytku dla funkcjonowania stale  
rozbudowywanych sił policyjnych. Nikt nie  
był pewny dnia następnego, a najgorzej mie-  
li ci, którzy znajdowali się na najniższych  
szczeblach hierarchii społecznej.  
Na tym właśnie bowiem polega szkodli-  
wość anonimów, że uderzają głównie w  
tych, którzy nie potrafią się obronić i to  
nie dlatego, że zawiniли, lecz tylko dlatego,  
że są słabi. A ile marnuje się przy tym  
czasu, ludzkiego wysiłku i ludzi samych?..  
Proponuję więc, by na mocy uchwały Wo-  
jewódzkiej Rady Narodowej, względnie (mo-  
że wystarczy) — jej Prezydium, zakazać  
wszystkim urzędem, jednostkom admini-  
stracyjnym itp. rozpatrywania jakichkolwiek  
skarg i oskarżeń, które zostały im przeka-  
zane w postaci anonimowej. W Białostoku  
zrodził się projekt „zielonych pluc Polski”,  
bo powietrze tu czystsze niż gdzie indziej.  
Zlikwidowanie anonimów jeszcze bardziej  
uwydatni atmosferę, służąc owoemu porozumie-  
niu, na którym podobno wszystkim zależy.  
W każdym razie mnie — ogromnie.

WŁADYSŁAW A. SERCZYK



# Lata stracone nigdy nie wrócą...

KIEDYS wstąpiłem do  
monieckiego domu kul-  
tury. Miałem jakąś  
sprawę do jego dyrektora —  
Włodzimierza Zmarzlika.  
Przyszedł mi chwila na niego  
poczekać. Z jednej z sal do-  
chodził głos recytującego  
wiersze. Urzekł mnie swoją  
prostotą i jakimś autentycz-  
nym pięknem. Jak choćby ten  
„Na odsiecz”.  
Później ludowa używam cię  
głębokożółte uczucia się żarzą  
wzrost i chat wieśniaczych  
ludzie cię sercem oddają.  
I dalej  
Potomni to kiedyś przeczytają  
późną durne nastroje  
wierszu bądź wtemny  
o to najbardziej stoje.  
Zaintrygowany tym i in-  
nymi wierszami, jako żywo  
przypominającymi Kajkę lub  
Reję, spytałem później Włod-  
ka o ich autora.  
— To nasz rodzimy poeta  
— usmiechnął się Zmarzlik.  
— Nazywa się Józef Gro-  
chowski. Miał już kilka uda-  
nych spotkań z Melanią Bu-  
rnyńską i Elżbietą Da-  
niszewską — również ludowy-

i nakłady w ogrodnictwo są  
duże i trzeba je szanować.  
Grochowski teraz specjalizu-  
je się głównie w warzywach.  
Pokazuje mi szklarnie z do-  
rodnymi pomidorami i ogór-  
kami. Kwiaty ma tylko koło  
domu i zakładu. Kto przejmie  
po nim schedę? Może córka  
Ewa? Ukończyła studia ro-  
lnicze w Olsztynie, obroniła  
również pracę dyplomową z  
ogrodnictwa. Na piątkę. Kie-  
dy ją pyta, gdzie chce pra-  
cować, trochę się początkowo  
zmyliła, następnie wypa-  
liła:  
— U ojca.  
— W jego zakładzie ogro-  
dniczym.  
— Brawo! — klaskali człon-  
kowie komisji egzaminacyj-  
nej.  
Dotrzyma słowa? Może. A  
ja proszę pana Józefa, żeby  
mi przedkładał jakiś swój  
wiersz o kwiatkach. Tyle ich  
przecież w swoim długim ży-  
ciu już wyhodował. Choćby  
te begonie, róże, dalia, astry,  
które widziałą się do nas do  
pokoju niemal przez okno.

— Może ten o jaśminie?  
— Jaśminie? Nie o bego-  
niach i różach, daliach lub  
goździkach?  
— Kiedy mnie ta masówka  
nudzi i nie potrafię o nich  
ułożyć wiersza. Pan rozumie,  
prawda?  
— Rozumiem, rozumiem.  
Niech więc będzie ten o jaś-  
minach.  
Grochowski bierze z regału  
swoją świeżo wydany tomik  
poezji „Pole ścieżki”, prze-  
wraca kartki i czyta:  
Przy wiejskiej chacie  
w rogu ogródka  
rozrósł się jaśmin  
jaśmin co roku  
kwitnie obficie.  
Przypomina sobie to spotka-  
nie z Melanią Burzyńską,  
poetką z polibskich Jaświ,  
które przed siedmiu laty od-  
bywało się w monieckim Klu-  
bie Seniora. Urzekł go jej  
wiersz. A przecież w dzie-  
ciństwie i młodości i on pró-  
bował sztuki rymotwórczej,  
później jednak zarzucił to, jak  
zresztą wielu rówieśników.  
Może więc teraz spróbować?  
Miał trochę w zrubie, wziął

Ciąg dalszy na str. 6



## Historia drzemie w starych domach

## SEPPUKU

„Porucznik przesunął miecz do przodu, uniósł nieco biodra, tak by górna połowa ciała zawisała nad mieczem. Postanowił pchnąć głęboko i zdecydowanie w lewą część brzucha (...) Oddech stał się ciężki, w piersiach czuł gwałtowne łomotanie, a gdzieś w głębinie tak odległej, że aż trudno uwierzyć, iż to własne wnętrze, poczuł jak strasliwy, przeszywający ból zaczyna wybierać tak, jak gdyby to ziemia pękła wyrzucając z siebie strumienie gorącej lawy. Porucznik zagryzł dolną wargę, dławiąc mimowolnie wydobywający się jęk...

— Więc to jest seppuku — pomyślał.

„Miłość i śmierć — Mishimo-Yukio

AMIATKI po pani Ludmilę, niezającej od 1975 roku, dostały się w moje ręce zupełnie przypadkowo. Pożółkłe fotografie i papiery, pokasane przez czas książki, zachryple pływające w listy z wykaligrafowanymi, ale prawie niezrozumiałymi słowami, które tak bardzo, że postanowiłam w tych skrawkach zatrzymanego czasu poszukać jej minionej życia.

Wszystko zaczęło się od starego zeszytu-pamiętnika w brązowych okładkach, zapisanego wyblakłym rosyjskim piśmem. Na pierwszej stronie widniał podpis właściciela Anatola S., potem data — luty 1922 rok, Harbin i kolejne dni, miesiące, miejscowości. Znalazłam też zaświadczenie o wyciągu z księgi metrycznej, informujące o ślubie Ludmili i Anatola w parafii prawosławnej Gródek 6 września 1934 roku. Potem niespodziewanie zobaczyłam zdjęcie kamiennego nagrobka i wryty napis — Anatol S., zmarł w 1938 roku, 31 lat, Upokoj gospodę duszy raba twojowej.



Wpatrywanie się w stare zdjęcia, dokumenty i listy niczego nie wyjaśniało. Rozpytywanie wśród znajomych i nieznajomych przynosiło jednak iskierkę nadziei. Otrzymałam adres długoletniej przyjaciółki Ludmili, pani Wandy. Urodzona w dalekim Baku skończyła studia medyczne w Wilnie. Gdy ją poznałam była już dawno na emeryturze i zajmowała się leczeniem znajomych. Wciąż kokieteryjna, w kolorowych sukniach, z pierścieniami i bransoletkami na rękach mówiła tak śpiewnie i miękko jak potrafiła mówić tylko ludzie z kresów. Ludmilę poznałam podczas ostatniej wojny: o Anatolu wiedziała bardzo mało.

Oto opowieść pani Wandy: — „Milka była z pochodzenia Rosjanka, ale urodziła się i wychowała w Białymstoku. Nigdy nie lubiła się zwierzać. Czasami tylko przy szklance herbaty ciemnej jak kawa i tak gorącej, że pila ją głośno storbając, bo inaczej poparzyłaby usta.

Bywało, że rozmawialiśmy bardzo długo to po rosyjsku, to po francusku, bo znaliśmy dobrze oba języki, wspominając dzieciństwo i chichocząc z dawnych amarów. Jej pierwsza miłość to Świecik. Przystojny kadet, którego poznała w Petersburgu. Zginął podczas rewolucji. Do Rosji rodzina Milki wyjechała na początku pierwszej wojny światowej.

Zachowany z tego okresu dokument informuje, że w Petersburgu, a potem Iwanowie Wozniesieńskim Ludmila ukończyła szkoły. „My niżej podpisani Adolf Filipp i Aleksander Artemowicz (...) oświadczamy, że oboje znana nam Ludmila (...) w roku 1914 ukończyła do Szlacheckiego Państwowego Instytutu w Białymstoku, zaś w roku 1915 z powodów wojny wyjechała do Petersburga i tam kształciła się w Instytucie Księżńskim. O roku 1918, w 1918 roku ukończyła do gimnazjum w Iwanowie Wozniesieńskim Gubernialnym i w 1921 ukończyła 7 klas nowożytnego gimnazjum. Otrzymała odpowiednio świadectwo, które o ile nam wiadomo w czasie podróży z Rosji do Kraju zaginiono, co swymi własnoręcznie podpisanymi stwierdzamy.”

Do Białegostoku rodzina Ludmili wróciła prawdopodobnie około 1923 roku. W dwa lata później do miejscowego starostwa wpłynęła jej prośba, że „chce być obywatelką polską i zrzeka się dotychczasowego obywatelstwa rosyjskiego”. 22 kwietnia 1925 r. po rozpatrzeniu odpowiednich dokumentów otrzymała akt uznania obywatelstwa polskiego.

Przebywając w Rosji Ludmila ukończyła aktorskie kursy i statystowała w teatrze. Gdy powróciła do Białegostoku zaczęła grać w amatorskim rosyjskim zespole. Przetwarzała jedynie parę zdjęć tej trupy, prywatnie i podczas spektaklu. We wspomnieniach pani Wandy zachowały się za urwki rozmów o przedstawieniach, pułkowniku Kawelinie, który zjeżdżał do hotelu „Ritz” na całą zimę, jego miłości do pięknej pani Mielichowskiej, rautach rosyjskiego towarzystwa dobroczynności, w których oboje uczestniczyli, cygańskich kapelach, powrotach późną nocą i... strugach szampana.

Poszarżała kartka zaproszenia na raut z 1937 roku — „W niedzielę, dnia 7 marca w sali restauracji „Ritz” Rosyjskie Towarzystwo Dobroczynności w Białymstoku urządza tradycyjny dancing karnawałowy „Bliny” — Cygański chór. Śpiew cygańskich romansów. Charakterystyczne tańce. Moc innych atrakcji...”

Gdy pod koniec wojny pani Wanda poznała Ludmilę zadziwiła się jej gościnności, opiekunkości w stosunku do obcych nawet ludzi i tym, że młoda kobieta nie dbała o rzeczy materialne. Tymczasem, iż tyle razy musiała opuszczać dom i zostawiać wszystko.

„Do Milki przychodziło się bez uprzedzenia, przyprowadzając ze swoimi znajomymi — wspomina pani Wanda. — Często walczyła z nią. Raz były to błyny, smażone na malutkich patelnkach, pozostałych jeszcze z posagu matki. Albo śledzie w korzennej sosie, przez Miłkę ulubione. Bywała zawiściasta ucha z pływającymi na wierzchu białymi kawałkami ryb, ale też zupa pomidorowa czy kawałek chleba ze stonką lub ce-

bulę. To znów kolduny, pachnące, soczyste, rozpyływające się w ustach po pierwszym kęsie.

Prawda, że alkohol lat się nieraz, ale co... Nam starym ludziom pozostało to z czasów okupacji. Ktoś utenczas nie pił — ze strachu, tęsknoty, żalu czy zapomnienia. A największe powodów do picia w tym okresie miała chyba Milka.

Gdy powstało getto odgródzone od miasta wysokim parkanem ona przemyciała tam jedzenie swoim żydowskim przyjaciółcom. W getcie wyrabiano tkaniny, więc opasywała wychudzone ciała materiałami, by sprzedać je po aryjskiej stronie i w zamian kupować żywność. Wędrowała tak wiele razy.

Ponieważ znała język niemiecki pracowała w fabryce włókienniczej jako kierowniczka transportu. W 1944 roku znajomy kierownik Rosjanin poprosił, aby go zwolniła. Zbliżał się front i obawiał się, że rodacy posadzą go o zdradę. Chciał pójść do partyzantki. Milka przychyliła się do jego prośby. Dowiedział się o tym niemiecki dyrektor Beer, odpowiedział na sprawę personalnie. Krzyżował, że zwolnił mogą tylko Niemcy i wydał rozkaz aresztowania — do obozu pracy pod Białymstokiem. Przebywała tam do wyzwolenia miasta.

Po wojnie dowiedziałam się najważniejszego — Milka przegarnęła żydowskie dziecko i wychowywała jako swoje. Wdzielałam te dziewczynki, nazywała się wtedy Nina i myślałam, że to jej córka. Zresztą sama opowiadała, że to nielubne dziecko, które dopiero teraz mogła zabrać z Warszawy od znajomych.

Milka z Ninką mieszkali tuż obok Niemców. Jedno uważało spojrzenie, jeden donosił i koniec. Teraz myślę, że gwarancję ich bezpieczeństwa stanowił właśnie sąsiad — Niemcy. Prawdę mówiąc obie były podobne do siebie — smagłe i czarnowłose. Mała znała dobrze język rosyjski, a Milka ochrzciła ją w cerkwi i nauczyła modlić się. Wszyscy uważali, że to naprawdę matka i córka. Chyba tylko rodzice Milki znali prawdę. Więcej nikt.”

Po wojnie Ludmila zapisała dziewczynkę do liceum żeńskiego. Nauka trwała kilkanaście dni. Odnaleźli się żydowscy kuzyni i odebrali dziecko. Wkrótce wszyscy opuścili Polskę. Odtąd Ludmila czekała na listy i pociągowała, że córka wróci. Listy przychodziły coraz rzadziej, potem korespondencja urwała się. Jedynie od czasu do czasu pojawiały się przekazy pieniężne z nadawcą Niną Angard, Wenezuela. Ludmila Niny nie odnalazła, ani przez żydowskie komitety, ani przez polską ambasadę w Wenezueli.

Pozostali jej tylko przyjaciele, których wciąż ubywało.

„Spotykaliśmy się w coraz mniejszym gronie — wspomina pani Wanda. — Niedawno policzyłam, że z naszych wspólnych znajomych odeszło ponad pięćdziesiąt osób. Stuchaliśmy bajek Michalkowa w wykonaniu Milki, pili z piśmiem Szalapina o Stience Riazinie, burlakach, romansów Wertynskiego, melodii rosyjskich dzwonów. Tylko skrzypiec Milka nie mogła słuchać. Jej mąż Anatol, który przed wojną był skrzypkiem, popiełnił samobójstwo, po japońsku, rozpruł sobie brzuch.”

Wizyta u pani Wandy skończyła się. Nie mogłam zrozumieć tylko jednego — dlaczego Anatol w pełni sił, wybrał śmierć tak okrutną i nietypową w polskich warunkach?

Wróciłam więc do starego zeszytu-pamiętnika w brązowych okładkach. Czternastoletni Tola S. opisywał podróż z chińskiego Harbina w lutym AD 1922 przez prawie pół świata do Wilna, gdzie jego rodzina zjawiała się w maju tego roku. Tylko w paru miejscach nawiązywał do Japonii, gdy płynęli japońskimi statkami „Sakura Maru” i „Katori Maru”.

Wróciłam do zdjęć, dokumentów i listów. Na jednej z pocztówek adresowanej do Ludmili w czerwcu 1938 roku pani Wiera B. z Grudziądza informowała, że na grobie Anatola położono kamienną płytę. Adres pani Wierzy odnalazłam w biurze meldunkowym. Okazało się, że od zakończenia ostatniej wojny mieszkała w Białymstoku. Gdy ją odwiedziłam ujrzałam ponad osiemdziesięcioletnią sparaliżowaną staruszkę. W pokoju, z którego nie ruszała się od przeszło dwudziestu lat pachniało lekarstwami i chorem ludzkim potem. Na ścianie wisiała lona podświetlona wieczną lampką, obok dwie duże fotografie — dziewczynki w długich sukienkach i młodej, zalotnej kobiety w futrze.

Pokazywałam pani Wierze zdjęcia i dokumenty. Z trudem wracała myślami do minionych historii, zapomnianych słów i znajomych, których wiele lat temu pożegnała na zawsze.



Anatola poznała w Białymstoku, gdy był już naręczony Ludmilę. Pamięta, że spotkali się pewnej nocy na jednym z rautów rosyjskiego towarzystwa dobroczynności, w hotelu „Ritz”. Anatol grał jako skrzypiec w hotelowej orkiestrze. Wysoki, w smokingu i binoklach prezentował się nadzwyczaj poważnie. Ludmila, starsza o sześć lat, wyglądała na jego równieśnika. Gdy pobrali się za jej pokój u jej rodziców w wynajmowanym przez nich mieszkaniu. Anatol, kiedy wczesnym rankiem wracał z „Ritza” do domu przynosił Ludmilę w kieszeniach i futeraleskie skrzypce pomarańcze, kawałki czekolady, cukierki. Jednak po pewnym czasie jego orkiestra rozpadła się. Nuty przebojów, rozpisane na poszczególne instrumenty kosztowały bardzo drogo. Muzycy musieli ustąpić miejsca innym, którzy mieli więcej pieniędzy i dlatego mogli zmieniać repertuar zgodnie z najnowszą modą.

Anatol został bezrobotny. Rodziców właściwie już nie posiadał. Matka umiała wkrót-

ciąg dalszy na str. 5

Do „HISTORII, KTÓRA DRZEMIE W STARYCH DOMACH” wracam już na tych łamach po raz ósmy. Tropiąc przeszłość owianego legendą dworu w Wielkiej Bobrze, będącego niegdyś własnością rodzin Roszkowskich i Tomaszewskich, a dziś stanowiącego chlubę Białostockiego Muzeum Wsi, natrafiam na coraz to nowe ślady minionych czasów i ludzi.

JAK ZWYKLE wiele mam do zawdzięczenia swoim Czytelnikom, którzy pomagają mi w dopisywaniu ciągu dalszego opowieści udzielając wielu niezwykle cennych informacji.

Chciałam dziś wrócić do tych zapisków, które w swoim „bobrzańskim notatniku” poczyniałam dwa lata temu. Wiosną 1988 roku otrzymałam bowiem

## NOWY SYGNAŁ

— LIST

od pana Henryka Filkiewicza z Sokółki, który nawiązuje do jednej z moich publikacji na wspomniany temat. Pan Filkiewicz napisał mi wówczas, iż żyją jeszcze ludzie z tamtych lat, którzy pamiętają Wielką Bobrę. Podał mi też ich nazwiska.

Tak się złożyło, że dopiero jesienią tegoż roku mogłam się udać pod wskazane mi przez Czytelnika adresy.

Był piękny, słoneczny, październikowy dzień. W towarzyszącym zastępczyni dyrektora Muzeum Okręgowego w Białymstoku — Tamarze Samul, historyka — Józefa Maroska i etnografa — Jerzego Celery (wszyscy pasjonaci tego samego tematu!) wyruszyliśmy w drogę. Cel — odczytać Wielką Bobrę.

## PO DRODZE

— MAKOWLANY

Zatrzymujemy się w nadziei, że spotkamy tu osoby wymienione przez pana Filkiewicza.

We wsi — PGR. Kiedyś był tu majątek Baehrow. Dr Mieczysław Orłowicz autor „Przewodnika po wolewodziwie białostockim” z 1937 roku pisał o nim: „W dużym parku stoi pałac empirowy z początku XIX wieku, ku któremu zbacza od szosy piękna aleja. Pałac jest własnością Ottona Baehra”.

## Z teki Henryka WILKA

ZAMEK W RYNIE (woj. suwalskiej) posiadający sześć wiekowiej metrykę to jedna z nielicznych budowli tego typu w Polsce. Ale jego rodu nie jest polski. Zbudował go Krzyżacy w drugiej połowie XIV wieku, w okresie gdy walki między nimi a Litwą były szczególnie zaciete.

Na ryński zamek rezydowali wysoce dostojni krzyżacy (komturowie), którzy zarządzali niemal całym terytorium na wschód od rzeki Łyny i na południe od rzeki Pręgiły oraz znajdującymi się na tym obszarze zamkami w Barczanach, Sztocznie, Ketrzynie, Głęboku, Sześciu i Elku.

Pierwszym komturem w Ryńcu był podobno legendarny Konrad von Wallenrod. Grube mury tego zamku długo stanowiły przeszkodę nie do zdobycia. Pierwszy raz udało się je sforsować w roku 1454 powstaniem Związku Pruskiego, czyli konfederacji pruskiej złączony z mieszczan, walczącym o przyłączenie Prus do Rzeczypospolitej. W rok później zaczęła wojna krzyżacka. Ryńsk jednak oddał, a zamek znowu stał się „krzyżackim gniazdem” skutecznie wykorzystującym obronę powstającego państwa wspieraną przez oddziały wojska polskiego.

O KILKU LAT sztuka tatuażu przeżywa swój renesans. W Paryżu, czy Nowym Jorku istnieją galerie z żywymi eksponatami, zaś artyści tatuują za jego wykonanie dyktują słone ceny.

U nas tatuaż traktowany jest tradycyjnie — jako „mowa wzorków” funkcjonująca głównie w środowisku przestępczym. Lekarze psychiatrzy z krakowskiego Zakładu Medycyny Sądowej twierdzą jednak, że nawet wśród przestępców tatuaż jest tylko osobniczo oznaczający się dużą energią, zdecydowaniem, wybujałą wyobraźnią i zmysłowością oraz mający tendencję do perversji seksualnych. Są to przejawy sutenerzy, złodziei, wamywaczy, a także homoseksualistów ze skłonnością do pederastii. Unikają natomiast „wzorków” oszuści i fałszerze.

## MĘSKA SPECJALNOŚĆ

Wśród kobiet tatuaże są rozpowszechnione w znacznie mniejszym stopniu niż wśród mężczyzn. Znaczą się nimi na ogół złodziejki, prostytutki, psychopatki, alkoholiczki, które popełniają przestępstwa typowe dla picia przeciwnie, albo są ich współniczkami. Kobiety przywiązują też większą wagę do kolorystyki „wzorków”, traktując je bardziej jako element „ozdobny” niż symbol rozpoznawczy. Przeważnie tatują się w więzieniach, choć tam wykonywanie „wzorków” zabronione jest regulaminem i grozi za nie kara dyscyplinarna. Ustawa karna z 1969 r. tylko w wąskim zakresie reguluje ten problem. W art. 63 k.k. wykonawczego mówi się o możliwości „(...) dokonania mimo sprzeciwu skazanego zabiegu zmierzającego do usunięcia

Pałacy ten jest teraz zastąpiony biurowcem w stylu — jasne — „po-dworkowym”. Ktoś komentuje, że ta współczesna dobudówka uchroniła — być może — owo domiszcz przed kompletną ruiną. Owszem, zostało się. Ale jak się okazało? Pożal się Boże! Od frontu — niegdyś paradne schody — zmurszałe i nadzarpane zębem czasu. Drzwi wejściowe zamknięte, ale przez okna — niekompletne, rzecz jasna — widać wewnątrz zaniedbanie, pustkę. Ale,

Opuszczamy Makowlany po to, by w Nowym Dworze

## POD WSKAZANYM ADRESEM

odnaleźć, być może, więcej szczegółów.

Pana Feliksa Arszulowicza spotykamy w ogrodzie, gdzie wraz z żoną przekopuje grządki. Rozmawia z nami chętnie.

## Dopiszę ciąg dalszy

ale, co tu u licha robi bilard? Z jakich on jest czasów?

Idziemy na tzw. ślimak — punkt widokowy, skąd — jak okiem sięgnąć — dawny, zaniedbany, niestety, park i — między gałęziami — prześwit stawu.

Po lewej — miejsce gdzie był sad, skąd gruszką „ber” wożono aż do Petersburga.

A ludzie? Wspomniany w liście Edward Rej nie żyje, pan Brunello — też. Zna pan Brunello — Aleksandra, wtedy właśnie, przed dwoma laty, mieszkała na terenie PGR. Miała 82 lata i była chora. Ujrzawszy tyłu obcych ludzi nieco się wystraszyła, ale po krótkiej chwili zaprosiła nas do środka (jaka piękna stara szafa w pokój!).

Od słowa do słowa dowiedzieliśmy się, że ona, to żona kowala z Wielkiej Bobry, i że majątek ten zna od dawnego, bo od 1925 roku. W 1930 roku wyszła za mąż i mieszkała tam aż do lat pięćdziesiątych. Ojciec męża — Michał Brunello najpierw przebywał w Ameryce, a jak wrócił, to został gajowym u dziedzica Tomaszewskiego. Zmarł przed 1918 rokiem.

nie. Wyjaśnia, informuje. Doświadczamy się też, że maluje. Później, w domu oglądam jego obrazy i słucham ciekawych komentarzy do nich („Matka i dziecko”, „Zniwa”, „Pieczenie chleba”).

Arszulowicz zna Bobrę. Jedno jego stwierdzenie zastanawia mnie szczególnie. To mianowicie, że tamtejszy dziedzic — Tadeusz Tomaszewski sprowadzał na rządów ludzi z Poznańskiego i że nic z tego nie wyszło, bo żeby tu pracować, trzeba znać psychikę kresowiaków. Wspomina również Jadwigę — siostrę Tadeusza, która po tragicznej śmierci drugiego brata — Jana w 1920 roku (jest to temat na oddzielną opowieść) ufundowała dzwoniem Jan znajdujący się w Nowym Dworze. Na odlew tego dzwonu on sam — Arszulowicz zbierał po polach łuski po nabojach.

Przerywamy tę krótką opowieść — by nie przeszkadzać w pracy — i umawiamy się na popołudnie.

Z tego Arszulowiczowego ogrodu kierujemy się drogą wiodącą do cmentarza.

Cmentarz prawosławny — tam rzekomo zginął Jan.

## BRAMA I DWIE FURTKI.

Po obu stronach dwa wysokie, zmurszałe już krzyże. Stare, zaniedbane mogiły. Nie można odczytać napisów. Wiadac, że nikt się tym nie opiekuje.

Próbuję uzmysłowić sobie jak to było wtedy, w 1920 roku. Jak zginął człowiek, a jak dwóch innym udało się cudem uciec z życiem z sytuchą — wydawałoby się — bez wyjścia. Myślę o tym idąc w kierunku nowodworskiego rynku, drogą, która była ostatnim etapem Jana Tomaszewskiego.

Grób Jana znajduje się przy kościele w Nowym Dworze.

Zanim znajdziemy się w Wielkiej Bobrze jeszcze trzy kwadransy w Chojnowszczyźnie. Był to niegdyś majątek Kazimierza Eynorowicza, później zakupiony przez Tomaszewskich, chyba dla Jadwigi. To jest tuż, tuż Bobry i specjalna droga zawsze łącząca te dwie posiadłości.

Chojnowszczyzna jest nieduża, ale bardzo ładnie położona. Obecny właściciel Jan Kozakiewicz właśnie orze ziemię. Zobaczyć gości przyjeżdżającą pracę. Oprawdza po gospodarstwie. Dom — musi być piękny — niestety chyli się już ku upadkowi, obory, stodoły — jeszcze można wytrzymać. Była tu kiedyś taka stara tablica z datą — gospodarz szuka po wszystkich kątach — ale niestety gdzieś się zapodziała.

## A W WIELKIEJ BOBRZE?

Tam, gdzie był dwór, już tylko fundamenty. I jeszcze stoją białe kolumny, które niegdyś podtrzymywały ganek.

Idziemy pod „święty wiatr”, „gub”, jak go tu nazywali. Drzewa już dawno nie ma. Przetrawia tylko o mała legenda zapisana na kartce książki Wandy Milaszewskiej. Istnieje także we wspomnieniach starych ludzi.

Czas wracać. Feliks Arszulowicz czeka. Prowadzi nas teraz do brata — Jana, który także pamięta bobrzańskie czasy. Jako pszczałarz częściej nas wyborym młodem powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepadło.

Pan Jan, podobnie jak Feliks służył w wojsku. Lidię. Znal pisarza Józefa Rybińskiego.

Pod koniec naszej wizyty — niespodzianka. Przyjeżdżają kołowrotki. Należą do niego, kołowrotki z Miłodeczna — podkreśla. Prosi także stępy dziadka, go, który opowiadał, że je nas wbył w miasto. Powiada, że miał kiedyś parę widoków i listów z Bobry, którą mu koczacy Jan dziećmi zucił, jak grzybów. To wszystko, nie mówię, przepad



# DOBRE ŻYCIE TYLKONIEPEWNE...

Na śniadanie jadła zsiadłe mleko z chlebem. Przy-niosła je sąsiadka. Powiedziała, że stało parę dni w lodówce, było więc do wyrzucenia. Babcia Kazimiera może je bez oporów przyjąć.

Jest ciepły, sierpniowy dzień. Przyjemnie posiedzieć na piensku przed domem. Popatrzeć na życie. To ktoś przejeżdża rowerem, to furę z zbożem. W niedziele ludzie ciągną do kościoła. Zabytkowy, drewniany obiekt sakralny, kryty gontem stoi prawie naprzeciw chaty Babci Kazimierzy i jej córki. Do kościoła sama chodzi, bo blisko. Jedynie tutaj czuje się równa innym.

Kto mi ją, dom powie — dzień dobry, czasem zapyta o zdrowie. Ale żeby ktoś tuż przed porankiem, to nie. Niedawno było u Zebków wesele. Kobiety po pięćdziesiątce — w wieku jej córki — ustroiły bramę z kwiatów. Wyślono im z domu weselnego wódkę i zagrychę, ale Babcia Kazimiera nie poszła nawet popatrzeć. Parę domów dalej, od jej zabudowań, ale za daleko. Nie ma siły chodzić. Ma sercową astmę. Do tego napady kaszlu. Przeważnie więc siedzi przed domem i patrzy.

— Dobre jest życie, tylko niepewne — mówi. W tonie głosu więcej jednak radości niż smutku.

Dlatego niepewne, bo nie wie czy jutro będzie miała co jeść. Dziś rano było mleko zsiadłe z chlebem. Później córka przyniesie dwa litry mleka, ugotuje kaszkę i kartofli, będzie na obiad i kolację.

— A jutro, co Babcia będzie jadła jutro?

— Jutro to samo, toż to wieś, dziwi się, że ktoś o to pyta.

Miesio jadła przeszło dwa tygodnie temu. Była wnuczka, Teresa. Jest w zakonie pod częścią granic. Przyjechała z drugą zakonnicą na tydzień. Kazimiera K. ogromnie się cieszyła z jej wizyty. Trzymała w ręku list od niej i ocierała radości.

— Ona taka dobra i taka miła, wrzuca się. Wizyta ta zmusiła do zaopatrzenia się w mięso. Kupiły schab, z którego robiły kotlety, a na kości gotowały pyzeczki. Babcia Kazimiera i dziś by coś takiego chciała zjeść, ale bez mięsa też może żyć. Na te zakupy pieniądze pożyczyla siostrzynie, sześć tysięcy zł. Nie wyznaczała terminu oddania, ale dług zwrócić trzeba.

Pensja córki wynosi niecałe sześć tysięcy zł miesięcznie. Na wyżywienie dwóch osób nie wystarcza. Na zwrot długu, tym bardziej. Córka będzie musiała zwinąć się z pracy na parę dni — pracuje w spółdzielni produkcyjnej w Klukowicach — i pójść na zarobek do sąsiadów. Tak nie jeden raz już robiła żeby się wykвитować.

Najbliższą wypłatę będzie miała 10 sierpnia. Miesia jednak chyba nie wykupi. Może sprzeda kartki. Dostanie je 300 zł. Niby nie dużo, ale ile za to mleka można kupić! W sklepie oczywiście, bo sąsiadzi niechętnie sprzedają.

Raz Babcia Kazimiera chciała skosztować mleka prosto od krowy. Poszła do gospodarza, u których nieraz się wybrała i grzecznie prosiła: sprzedaj-

nad którą widnieją grube, wywinęte, najczęściej rozchylone usta.

Symbolika branży „kieszonkowej” należy do najmniej skomplikowanych. Przeważnie jest to tylko kropka umieszczona pomiędzy palcem wskazującym i kciukiem lub obok zewnętrznego kącika lewego oka. Serce na wysokości krtani ma wskazywać osobnika, który za pocztówkę alkoholem wyświadcza różne usługi przestępcze. Symbolem złodzieja nocnego jest półksiężyc, natomiast „wielobranżowego” oznacza rybka

# ZŁOŻA LEKACH

(uwaga! tylko jedna) wytatuowana na ramieniu. Do biskawicy na grzbiecie kciuka ma prawo wyłącznie złodzieje wykorzystujący trudne warunki atmosferyczne, a do wzorku ptaka z parasolą w dziobie umieszczonego zwyczajowo nad lewym nadgarstkiem złodziei węgrowi. Osobnie stoją tatusze złodziei działający na „wydę” (wyrwane przedmiotów z rąk, np. torebek) — czarna kropka na łuku jarzmowym. Symbolem wianuszczy jest jak dotąd kotwica, chociaż coraz częściej zastępują ją strzałką między kciukiem i palcem wskazującym. Do ulubionych znaków przestępców trudniących się rozbójem ale bez użycia broni palnej i ostrych narzędzi (jedynie głowymi rękami) należy głowa

nie klientów bywają niekiedy zdobieni na siłę. Takim „nieuczciwym” kompani tatusza na czole głowę zezowatego marynarza. Rzetelny cinkciarz jeżeli chce się sam ozdobić na natomiast prawo do umieszczenia na udzie koła sterowego w kompozycji z kotwicą.

**PAMIĘTAJ, ŻE TULIŁA CIĘ KRATA**

Pod skrótem czteroliterowym „PICK” objawiają swoją przeszłość recydywiści. Jest to bowiem podstawowy symbol pobytu w zakładzie karnym, z których każdy ma indywidualny znak. Gałazka wiśni — więzieniu w Sztumie, róża w podkowie — Białoleka, usta — Wronek, motyl — warszawskie więzienie na Mokotowie, rybka — zakład karny w Łodzi, żółt — w

Po komasacji, w 75 r. gminy przydzieliła jej 200 zł miesięcznie. Pojechała autobusem z Tokar do Mielnika. Urzędniczka mówi — przyjdzie pani jutro, bo ja wyjeżdżam. Żeby miała gdzie przenoćować, to by poczekała do jutra. Wróciła do Tokar i znów jeździ do tej samej pani, a ona — ja mam wolne, przyjdź — mówi — jutro. Tak odsyłała przez trzy dni. Kazimiera K. poszła do komendanta posterunku, akurat naprzeciw gminy. Był to starszy, porządny człowiek.

— Pani — mówi — taka i taka sprawa. Zadzwonił do gminy. Teraz wypłaci, niech pani idzie.

Baba się iść bez niego, ale wypłacił. Od tej pory więcej do gminy nie poszła. Soltyś przywoził zasilek. Później w gminie zaczęli mówić, że córka Kazimierzy K. kupiła pomarańczę dla dzieci za społeczne pieniądze. Babcia powiedziała, że nie dadzą zasilek, bo córka wyda go na kryształ...

Ostatni stały zasilek otrzymała w listopadzie ubiegłego roku. W okresie od czerwca do listopada wypłacano jej po 6150 zł miesięcznie. Od listopada żyła z córką z jej pensji, na wójt grodują.

Kiedy była młoda i zdrowa nie myślała o starości. Przed wojną, jako wyrobnik rolny zarabiała dwa złote dziennie. Mąż był tracem, ale i utrzymuje. Jak zarwał większy grosz, to przepił. Sama więc dbała o dom i córkę, sama zarabiała na kupno 40 arów ziemi. Po wojnie była możliwość upelnorolenia, ale nie umiała skorzystać z tej szansy. W Tokarach nie było wprawdzie majątków do podziału, ale ziemię dzielił. Po pomiarach okazało się, że gospodarze mieli ukryte powierzenie, nie ujawnione w spisach. Ten „nadmiar” mieszkający na zewnątrz podzielił między siebie.

— Dajcie mi choć krzaki, to będę miała drewno na opał, prosiła.

Nie dali. Pozostała przy 0,4 hektara, na którym uprawiała zboże i kartofle. Za dzień pracy rolnika z koniem musiała odrabiać ze trzy dni. Musiała też zarobić u gospodarza, żeby zechciał zwinąć jej zboże i przechować w swojej stodole. Tak schodziło lato. Zimą przadła ludziom. Kiedy nie było mechanizacji, chętnie brano ją do pomocy. Później powoli stawała się niepotrzebna, zwłaszcza że poszedł wiek pozbawiał ją siły. Nikt w przeszłości nie pomyślał o tym, aby ją ubezpieczyć jako robotnika. Nie nabyła więc formalnych praw do renty.

Soltyś w Tokarach, Edward Niesiołowski uważa, że swoją ciężką pracę zasłużyła na stały zasilek. Dlatego nie chce jej dać, nie rozumie. Tokary — jego zdaniem — to wieś ani gorzej, ani lepiej od innych. Dziś takie czasy, że każdy pilnuje swoich spraw. Ludzi w podeszłym wieku jest we wsi coraz więcej. Soltyś w tym roku składa podanie o rentę, kilku innych ma podobne zamiary. Każdy dostanie jakieś pieniądze. A ona nie żyje przecież w innym państwie.

— Niech mama szanuje zdrowie, napominała.

Ziemia ta leży odległym, a Kazimiera K. nie ma już siły pracować od rana do wieczora u sąsiadów za jedzenie, co było zajęciem jej całego życia. Gospodarze, których wspomagała mają dziś niezdolności, a ziemię uprawiają ich dzieci. W rozwoju tych gospodarstw jest też wkład pracy jej 76-letniego życia. Czy ktoś może powiedzieć, że ona nie ma prawa do stałego zasileku?

Cląg dalszy na str. 6

## ★ CZY SŁYNNY BIAŁOSTOCZANIN WEJDZIE DO KOLEKCJI FIGUR WOSKOWYCH? ▼ INTERESUJĄCY PLEBISCYT „NASZEJ WSI”

JEST PRODUCENTEM telewizyjnym w szwajcarskim Lugano. Nawet jeśli każdy może tam kupić kamerę i zabawić się w filmowca nie umniejsza to fakt, że Jean Rezzonico lubi zadziwiać ludzi, sprawiać im radość, cieszyć się z zadowolenia innych.

Niewielu białostoczian pamięta dzisiaj owe kolekcje ogromnego namiotu ustawionego w centrum miasta, a w nim najprawdziwszego wieloryba na długiej platformie ze skomplikowaną aparaturą chłodniczą. Ogromne, 22-metrowe zwierzę z rozwartą paszczą, w której z powodzeniem mógł stać wyprostowany dojrzały mężczyzna, sprawiało niezapomniane wrażenie na licz-

# Świat dziwów Jeana Rezzonico

nych uczestników wycieczek od Goldapi i Bał Mazurskich po Siemiatycze i Drohiczyń. Dla zwiedzających było to połączenie lekcji biologii z echemi Moby Dicka, stworzonymi i powiewem pasatów nad południowych mór. Staranny opis anatomiczny zwierzę z sasków, z wykresami waży jego poszczególne części ciała, opisem rozbitych przezeń ludzi i statków wielorybnych rozbudzało ogromne zainteresowanie.

W 25 lat później, od trzech miesięcy, Jean Rezzonico zadziwia tym razem mieszkańców Warszawy pierwszą w Polsce wystawą figur woskowych, którą eksponuje na Placu Defilad w osłoniętej kolekcji obok pałacu Japana XXIII. Elvira Presleya, Johna F. Kennedy'ego znaleźli się także niektórzy prezydenci Stanów Zjednoczonych AP, Charlie Chaplin, Gagarin i Tierszkowa, założyciel Czerwonego Krzyża — pierwszy laureat Pokojowej Nagrody Nobla w 1901 r. Henri Dunant oraz

kilku innych wybitnych osobistości, ale i... Drakula, legendarny książę wampirów. Nie te momenty pragnę wyeksponować. Otóż organizatorzy wystawy: Akademickie Biuro Kultury i Sztuki „Alma Art” przy współudziale Redakcji „Nowej Wsi” wraz z Biurem Turystyki Zagranicznej OST „Gromada” ogłosili plebiscyt, który ze słynnych Polaków znaleźć się powinien w tym

Gabinecie Figur Woskowych. Dwa miejsca są zarezerwowane. Wpłynęło już wiele propozycji. Zwiedzający chcieliby oglądać podobizny papieża Jana Pawła II, Józefa Piłsudskiego, Lecha Wałęsy, Mikołaja Kopernika, Jana III Sobieskiego, Fryderyka Chopina, Tadeusza Kościuszki, Adama Mickiewicza, Wojciecha Jarużelskiego i wielu innych, w tym Zbigniewa Bońka, Zbigniewa Cybulskiego, Władysława Gomułka, Jana Kobuszewskiego. Mnóstwo głosów zdobyła Katarzyna Figura, a głoszący podkreślają w korespondencji, że chcą oglądać popularną aktorkę... rozebrana.

W wydany przez kilku laty przez Wojewódzka Bi-

bliotekę Publiczną w Białymstoku informatore bibliograficznym „Ludzie których warto poznać” o słynnych mieszkańcach województwa białostockiego, tom zyskiego i suwalskiego jest ponad 130 nazwisk krajan znanych przez mniejszy lub większy krag ludu. Wśród nich bez wątpienia największe szanse na znalezienie się w gabinecie ma Ludwik Zamenhof.

Plebiscyt trwać będzie do końca września br. Wśród głosujących organizatorzy losować będą atrakcyjne nagrody, w tym wycieczki zagranicę do Paryża i ZSRR. Propozycje zaś wyłącznie na kartach pocztowych można przysłać pod adresem: tygodnika „Nowa Wieś” (ul. Wiejska 17, 00-480 Warszawa).

Dodam jeszcze, że woskowe figury Jeana Rezzonico eksponowane są w specjalnych kontenerach a wszystkie postacie mają odpowiednią scenografię i oprawę świetlną-muzyczną.

W październiku Gabinet przeniesie się na Śląsk, następnie od stycznia gościć będzie przez kilka tygodni w Krakowie, później w Gdańsku. Być może trafi także do Białegostoku i innych większych miast naszego regionu, gdyż właściciel tej oryginalnej galerii ma zamiar przebywać w Polsce przez trzy lata.

JOTEM

# SEPPUKU

Cląg dalszy ze str. 4

ce po powrocie z Harbina do Wilna. Ojciec, były carski generał, przystojny i męski posłubił młodszą aktorkę i zapomniał o dorosłych dzieciach — córce Tamarze i dwóch synach, Anatoliu i Igorze. Jak długo mógł żyć na garnuszku u tesciów młody mężczyzna, którego od dzieciństwa uczono szacunku dla kobiet i tego, że mąż powinien sam utrzymywać żonę?

W maju 1937 roku zapadła decyzja wyjazdu w poszukiwaniu pracy. Zachowała się z tego okresu książeczka oszczędnościowa Ludmiły, świadectwo tułaczki jej i Anatola. W rubryce zawód wpisano — „przy mężu”. Najpierw w Piotrkowie Trybunalskim na konto oszczędnościowe wpłacono 30 złotych, potem w Brzeżnach koło Łodzi — 5 zł. W Łowiczu podjęto 20 zł. W sierpniu przyjechali do Łodzi. Anatol chodził i grał po podworkach, często w najuboższej dzielnicy miasta, robotniczych Balutach. Zbiierał zawinięte w papierki grosze, zrzucał z okien kamienie. W książeczce zanotowano kilku i kilkunastozłotowe wpłaty i wypłaty. We wrześniu wyjechali do Brześcia nad Bugiem z kontem oszczędnościowym 7 zł. Tu postanowili na razie rozstać się. Ludmiła wróciła do Białegostoku, a Anatol pojechał spróbować szczęścia do Grudziądza. Tam mieszkała z mężem pani Wiera B., jedyna znajoma Anatola w tym mieście.

Oto jej relacja: — „Tola był zawsze małomówny i spokojny. Wynajmował pokój u Niemki, ale prawie codziennie bywał u nas. Grał wtedy w miejscowych cukierni. Nic nie mówił, ale widziałam, że czuje się samotnie. W Grudziądzu oczekali go zupełnie inni ludzie niż w Białymstoku. On i po polsku mówił słabo, a tu znalazł się jeszcze wśród Niemców. Poza tym miał konkurentów do grania u cukierni. Pamiętam, że z początku przyjechano z nim dwóch kolegów-muzyków. Potem oni gdzieś zniknęli i Tola został zupełnie sam.

Tego dnia, kiedy popełnił samobójstwo, chyba pod koniec kwietnia, panowała piękna, słoneczna pogoda. Miał przyjść do nas

na obiad. Jak każdy Rosjanin lubił dobrze zjeść i jak każdy mężczyzna uwielbiał słodkie desery.

W swoim pamiętniku z podróży 14-letni Anatol sporo miejsca poświęca jedzeniu. Np.: — Kwiecień 1922 rok, statek „Katori-maru” — „Pierwsza i druga klasa jedzą lodu. A nas oszukali — mówili i mówią, że będziemy mieć jedzenie takie jak w drugiej klasie. Daliby choć raz w niedzielę lodu. Tu przecież taki ogromny żar.”

W Grudziądzu pani Wiera przygotowała na obiad ulubione węgorki Anatola i... lodu z owocami.

— „Tola przyszedł bardziej zamyślony i małomówny niż zazwyczaj. Nie chciał jeść obiadu. Opościł, że jak szedł do nas widział leżącego na brzegu Wisły topielca. W jego brzuchu kłębiły się węgorki. Potem wstał i zaczął grać na skrzypcach. Zawsze nosił je przy sobie.”

W pamiętniku Anatola leży pośliznięta kartka z zapisanymi ołówkiem nutami jakiegoś tangga.

Notatka z 8 kwietnia 1922 roku — „Gracem wieczorem na skrzypcach na pokładzie trzeciej klasy. Zebrali się dużo pasażerów pierwszej klasy. Potem do akompaniamentu skrzypiec śpiewała panienka, nasza sąsiadka, potem mama, tata. W końcu wszyscy utworzyli chór.”

Po obiedzie u pani Wier Anatol wrócił do siebie. W parę godzin później przysłał Niemkę, u której mieszkał. Powiedziała, że jej lokator popełnił samobójstwo. Przed chwilą zabrali go jeszcze przytomnego do szpitala. Stamtąd trafił bezpośrednio do szpitala.

Ludmiła przyjechała następnego dnia. Poszła do domu, w którym mąż wynajmował mieszkanie. Poznała prawdę. Poprzedniego dnia wieczorem Niemka-gospodyni urwała wypływającą spod drzwi pokój Anatola krew, a potem w środku na rozłożonych gazetach jego samego z rozprutym brzuchem. W szpitalu trafił bezpośrednio do sali operacyjnej. Ciągłe przytomny mówił lekarzom, żeby go nie ratowali, bo wszystkie jelita zostały w kule na śmieci.

W pokoju Anatola czekał na Ludmiłę list, pisany krwią. Tego pisma nie odnalazłam i jego treść na zawsze pozostanie tajemnicą.

Pochowano Anatola na cmentarzu samobójców w Grudziądzu, na słonecznym brzegu Wisły. Był późny wieczór, wiał silny wiatr, kropił deszcz. W drgającym świetle grobów grzabarzy zasypwały trumnę Anatola, w której leżał ubrany w jedyny, wyciarty w roboczy zarazem, frak, ze skrzypcami u boku.

Po powrocie z cmentarza do domu pani Wiera odwiedziła się, że czeka na nią jakiś pan. Omal nie zemdlą. Przed nią stał Tola, jak żywy. To jego brat, młodszy o rok, przybył na pogrzeb z Warszawy.

Wkrótce po śmierci męża Ludmiła pojechała do ławry w Potajewie. Przed cudownym obrazem Matki Boskiej prosiła — gospodi! pokój duszy raba twojemu.

W 1978 roku w Grudziądzu zlikwidowano cmentarz samobójców. Wywieziono kamienne nagrobki, ekshumowano zwłoki. Na jego miejscu wyrosło nowoczesne osiedle mieszkaniowe.

Ja zaś wciąż pytałam panią Wierę, dlaczego Anatol popełnił właśnie seppuku. W końcu pewnego dnia pani Wiera przypomniała sobie, że Tola w Harbinie miał przez długi czas guwenera Japończyka.

ANNA BOCKOWSKA

siedzi. Prawie każdy budynek posiada coś w rodzaju nośnego haka przy samym dachu. To urządzenie przypomina o zależności ludzi od potęgi morza oraz pomaga przy wyciąganiu różnych przedmiotów w czasie ewentualnych powodzi. Mijam natwórczy dom w mieście. Ma on kilka pięter i szerokość około... dwóch metrów.

Ogromna siedziba mera Amsterdamu.

Ulica zastawiona najdroższymi samochodami na te reprezentacyjne budynków. Niektóre z nich posiadają ogromne okna lub całe szklane ściany. Tam działają różne biura, agencje, firmy. Mieszkania wynajmują tylko najbogatsi.

Najstarszy kościół ewangelicki.

arena holenderskiej marynarki wojennej zbudowaną na 18 tysiącach drewnianych pali. Wśród eksponatów — modele statków, starodruki, mapy, galerie obrazów o tematyce marynistycznej z epoki potęgi Niderlandów.

A co na „suchym” lądzie Amsterdamu?

Dziewczyna rozdaje ulotki zachęcające do odwiedzenia wystawy narzędzi tortur. Te urządzenia są szczegółowo opisane, a zdjęcia ukazują ich stosowanie i skutki w postaci zniekształconych i okaleczonych ofiar.

Nieliczone banki, a w każdym z nich — kursy najwyższych walut światowych. Dworzec centralny zbudowany w XIX wieku. Osłepiające neony i reklamy, sklepy z artykułami dysonalnymi i pamiatkami, doskonała informacja. Tłumy ludzi. Chudy chłopak próbuje nawiazać z kimś rozmowę. Grupa turystów (bezdolnych?) leży w śpiworach. Ktoś gra na gitarze.

Sznury szalonych samochodów, nie zwracających uwagi na pieszych. Przechodzą trze-

pomocy — dłuższa, okrężna droga do Muzeum van Gogha (wystawa malarstwa impresjonistycznego).

Co drugi mężczyzna nosi długie włosy, związane w kucyk, zaplecione w warkoczki. Wiele kobiet w minispódniczkach ma kolorowe tatuaże na ramionach lub udach.

Ulica dla erotomanów i zwykłych amatorów seksu: kina, pornoshoopy, Muzeum Seksu. Wokół ludzie: zainteresowani, podnieceni, znużeni... Nadmiar plakatów, zdjęć oraz różnych akcesoriów do konkretnych praktyk przestaje bawić.

Typowy sklep z holenderskimi pamiątkami: miniaturki wiatraków, drewniane saboty, porcelanowe figurki, prospekty w różnych językach, widokówki. Sprzedawca pakuje drobniaki w papier ze słynnymi motywami, zaprasza do ponownego odwiedzenia sklepu.

Na dużym placu dwójka ludzi. Jeden opasany grubym łańcuchem przegina się w róż-

## Wakacje w Beneluxie

Amsterdam jest słynny dzięki swoim stu kanałom. Porównuje się go do Wenecji, gdyż kanały i tysiące mostów tworzą ze stolicy Królestwa Holandii kopię słynnego włoskiego miasta. W wodzie, za koronami drzew odbijają się prawdziwe cuda architektury — kamienice, dawne spichlerze i magazyny, kupieckie kantory, przypominające okres świetności Niderlandów.

# Migawki z Amsterdamu

NIE DALEKO dworca głównego stacja metra, informacja turystyczna, przystanki autobusowe i tramwajowe oraz pierwszy kanał. Gościnny, bo z przystanku niewielkich łodzi — tramwajów wodnych. Bilet kosztuje 7 guldenów (ze zniżką, bo normalny 8,5 guldena). Bardzo drogo jak na kieszonkowy student, szczególnie z Białegostoku, która ma pieniądze tylko na jedzenie i spanie w schronisku młodzieżowym.

Przy wejściu na łódź fotograf robi kolorowe zdjęcia, które można po rejście kupić za 5 guldenów. Nietanie, ale każdego pociąga możliwość posiadania takiej pamiątki, ponieważ format pocztówki, której połowa to osoba wchodząca do tramwaju, a druga część to kilka ujęć najpiękniejszych, najbardziej malowniczych kanałów. I żeby nie było wątpliwości — napis „Amsterdam” i data: 1988.

Przed opuszczeniem przystanku barman oferuje różne napoje i słodycze, potem pilot włącza motor i ruszamy na godzinną niezapomnianą wycieczkę w trakcie mijania kolejnych, ciekawych miejsc miasta na wodzie z głownika. Bura informacja w językach holenderskim, angielskim, francuskim i niemieckim. Co więc można dostrzec z nad amsterdamskiej wody?

Domy, przylutne do siebie boczny ścianami, o pięknych fasadach, białe obramowania okien i często z datami świadczenia o wieku tych zabudowań.

Niewielkie stateczki i łodzie zamienione na mieszkania z gazem i elektrycznością. Znajdują się cały czas na wodzie. Mosty zwodzone i nieduże, misternie zebrane mostki.

Domy wystające wprost z wody. Nad samą powierzchnią ściany zielenieli i oblepione wodorostami. Odważne kącki pływające całymi rodzinami.

Docieramy do portu. Bura holenderskiej firmy Shell. Zaplecze dworca głównego i w perspektywie — żółte pociągi. W oddali dźwięki i odgłosy pracy. Inne tramwaje wodne pełne zadowolonych turystów. Muzeum, składowiska mieszczące się w dawnym

ba wtedy, gdy ulica jest pusta. Następna taka okazja może trafić się dużo później. Stragany, a na nich kilkadziesiąt odmian tulipanów, charakterystycznych kwiatów Holandii.

Młody mężczyzna ubrany na czarno stoi bez ruchu. Nie zamyka oczu, prawa ręka cały czas wyciągnięta w górę. Dookoła tłumek ciekawych: jak długo to potrwa? Do kapelusza wpadają pieniądze.

Upamiętnienie Holandii. Nawet kiedy nie znają obcego języka, próbują wskazać właściwy kierunek. Dzięki takiej

EWA ORKAN Repr. Z. Lenkiewicz











A 20x20 grid with numbers 1-38 and 44 indicating starting positions for a word search puzzle. The grid contains black squares with white triangles pointing in various directions, representing obstacles or specific letter positions.